

Opowiadania powstały
w ramach warsztatów
literackich z Agnieszką Lis

*(nie)świąteczne
opowiadania*



(nie)święteczne opowiadania

Opowiadania powstały w ramach warsztatów literackich w dniach 5-12.12.2020 r. z pisarką Agnieszką Lis.

Urszula Bąkowska

Artur Nowakowski

Andrzej Zawadzki

Urszula Bąkowska

Obraz

„Ale tu ciepło”- pomyślała. Trudno było jednoznacznie określić temperaturę, bo na jej odczucie miały wpływ otaczające ją barwy – ciepłe, głębokie kolory. Niebo było ogniste czerwone, przetłamane smugami oranżu oraz żółtą poświatą. Wieczne słońce sprawiło, że odbicie nieba w wodzie było zachwycające i hipnotyzujące zarazem. „Niezwykły ten widok, jak gdybym patrzyła na malarski pejzaż” – stwierdziła, chłonąc zachód słońca rozpościerający się przed nią. Czuła się bezpiecznie i spokojnie, choć nie wiedziała, gdzie jest. Normalnie powodowałoby to poczucie dyskomfortu i szukałaby odpowiedzi. Lecz teraz nie było w niej pytań, więc i odpowiedzi nie były potrzebne.

Po chwili dojrzała Kobietę, która spacerowała przed nią brodząc niespiesznie po kostki w wodzie. Patrzyła na nią próbując zrozumieć, kim jest ta istota. Nie umiała określić jej wieku i chyba nawet nie próbowała. Była piękna, a wiek w żaden sposób jej nie definiował. Było w niej coś szlachetnego. Jej ruchy były dostojne. Uważnie stawiała kolejne kroki. Białe ubrania sprawiały, że wyglądała jak antyczna postać uwieczniona przez rzeźbiarza. „Czy ta istota zesza z postumentu, by przechadzać się brzegiem jeziora?” – pomyślała.

Choć niewiele rozumiała, w tej chwili po prostu była... Takie momenty nie zdarzały się jej wcześniej. Obserwowała postać w wodzie. Ta pochylała się co krok lub dwa. Nie patrzyła na nią, choć czuła, że ją widzi i akceptuje jej obecność.

Sytuacja niczym nie przypominała tego, co znała. Zawsze szybko podejmowała decyzje, działała z wyczuciem, przejmując inicjatywę. Dziś postanowiła czekać.

Statyczna niczym postać na obrazie. Ona, siedząca nad brzegiem jeziora na pierwszym planie, a przed nią postać spacerującej kobiety. Bardziej zaznaczona plamą iluzyjną, niż wiernie odwzorowana. I te kolory... odcienie szkarłatu, makowe, złotorude, rdzawe, od ochry do głębokiego czerwonego wina. Uśmiechnęła się do siebie, a myśl o byciu częścią obrazu wydała się jej niezwykle kusząca. Być wśród

innych dzieł na wystawie. Być oglądaną przez znawców i amatorów. Po prostu być i nic już więcej nie musieć.

Czekała aż coś się wydarzy, ale nie było to czekanie męczące czy nerwowe. Zwykle nienawidziła tak czekać. Dziś było inaczej. Nie czuła poirytowania, czekała spokojnie. Była ciekawa tego, co przyjdzie.

Siedziała po turecku na trawie i było jej dobrze. Wygodnie oparta się rękoma o ziemię i oddychała głęboko. Czuła, jak żdźbła łaskoczą ją w dłonie. Zdziwiła się, jak wiele odcieni mają pojedyncze pasemka tej pospolitej rośliny. Przeczesła podłóżę ręką, by lepiej je poczuć. Następnie spojrzała na swoje dłonie. Były popękane, na paznokciach była jeszcze resztką turkusowego lakieru. „Nie dbam o siebie” - pomyślała. I zaskoczyła ją ta myśl. Wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Gnała do przodu, codziennie w pędzie, nie myśląc czego tak naprawdę by chciała. Czego potrzebuje...

Nagle zorientowała się, że coś zastoniło jej słońce. Dziwny cień padł na jej dłonie. Podniosła głowę i zobaczyła Kobietę z jeziora. Nie zauważyła, jak podchodziła ani jak długo patrzyła na nią. Kobieta spojrzała na jej dłonie, więc wyciągnęła je do niej mimowolnie. Wtedy Kobieta podsunęła swoje, pełne niewielkich, obłych kamyczków i delikatnie przesypała je w ręce siedzącej. Były wilgotne i ciepłe, miały nie więcej niż centymetr, i było ich pewnie ponad trzydzieści. Kobieta nagle przemówiła wskazując na kamyczki: „tyle masz jeszcze do zrobienia”. Przez chwilę patrzyła na nie, czuła je w dłoniach i próbowała zrozumieć, o czym ta istota mówi. Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko. Zapanowała spokojna ciemność i cisza.

Ciemność przerwał bliżej nieokreślony dźwięk. Trochę mechaniczny, przerywany, ciężki. Taki, jaki mogą wydawać tylko roboty albo maszyny, a nie żywe istoty. Dźwięki stawały się coraz donioślejsze. Słyszała świst wentylatorów, ruch pomp, rytmiczne przeskakiwanie przetłączników. Poczuta nagle niepokój, a ciemność nie ustępowała. Zdała sobie sprawę, że słyszy piosenkę, którą pamiętała z dzieciństwa. Wyobraźnia podpowiadała jej obraz ojca, z którym razem tańczyła w rytmie starego, świątecznego hitu Georga Michaela. Wspomnienie to było niewyraźne. Niosło za sobą radość, ale i gorycz.

Przed oczami dalej miała ciemność. Powieki były niemal zespolone ze sobą. Z ogromnym wysiłkiem raz za razem próbowała je otworzyć. Zawalczyła raz jeszcze i w końcu się udało. Otworzyła oczy i poraziło ją ostre, białe światło. Obraz pełen ciepłych kolorów zniknął. To, co widziała teraz, przypominało czyste płótno, na którym ktoś rozsmarował białą farbę prosto z tuby. „Gdzie podziało się jezioro... gdzie moje kamyki...” - pomyślała.

Zimna biel raziła ją, sprawiając niemal fizyczny ból. Dłuższą chwilę zajęło jej zrozumienie, gdzie jest i co się dzieje. Kątem oka, po prawej stronie, zobaczyła okno między pomieszczeniami, a w nim łańcuch światełek. Ich białe, ciepłe światło delikatnie migotało, przelatując arktyczną biel pokoju. Nagle w drzwiach stanęła postać w uniformie. Przyglądała się dziewczynie i chwilę trwało, aż wydobyła z siebie słaby dźwięk. Sięgnęła po telefon i powiedziała po chwili do słuchawki „Pani doktor, nie wiem, czy pani uwierzy, ale ona się obudziła”.

Artur Nowakowski

Opowieść (przed)wigilijna

"Wypierdalać!" - skandowały tysiące kobiecych gardeł. Ubrany na ciemno tłum wyciągał w górę zaciśnięte pięści, rytmicznie potrząsał transparentami, gotował się i kipiał. "Wy-pier-da-lać!" - cedziły dobrze ubrane kobiety w drogich butach, piszczwały młode dziewczyny w glanach i skrzeczały babcie, które z trudem nadażały za rytmem tłumy. Okrzyki cięży powietrze, wypełniały każdy zakątek otoczenia, wdzierały się nawet tam, gdzie nikt nie chciał ich usłyszeć. Mimo, że krzyczały głównie kobiety, była w tych okrzykach jakaś trudna do opisanie siła, siła, która powodowała, że nawet najbardziej męscy mężczyźni dostawali gęsiej skórki.

Tłum powoli szedł przed siebie, czasem stawał - wtedy okrzyki przybierały na sile. Potem znowu ruszał, a skandowane hasła nadawały mu rytm. Był jak samonapędzająca się maszyna, swoiste perpetuum mobile, które do poruszania się potrzebuje wyłącznie własnej energii. Ba, ten tłum miał nadwyżki energii! Nie tylko produkował jej tyle, by napędzić samego siebie, ale wyrzucał na zewnątrz jej nadmiar, wręcz eksplodował energią! Był jednym organizmem, przedziwnym stworem, a raczej stworzeniem. Stworzeniem, którego nie dało się zatrzymać.

Gdzieniegdzie, między drobnymi kobiecymi sylwetkami, przewijała się męska postura, ale to ich było zdecydowanie więcej - kobiet. Matek, żon, córek i sióstr, chudych nastolatek i korpulentnych pań w średnim wieku. Widziane z góry przypominały mrówki. Każda z nich, osobno, byłaby małą, trudną do zauważenia kropką. Tak, jak trudno jest zauważyć mrówkę, która maszeruje w sobie tylko wiadomym kierunku. Wszystkie razem widoczne były od razu, przykuwały uwagę, nie pozwalały oderwać od siebie wzroku.

Przypominały mrówki, które niosą ogromny dla nich ciężar, wielokrotnie przewyższający wagę ich samych. Była w nich tak wielka pewność, że ciężar nie miał tu znaczenia. One po prostu go niosły!

"Wy-pier-da-lać!" - skandowały kobiety z taką siłą, że nawet chór Aleksandrowa mógłby im pozazdrościć wrażenia, które robiły. Budziły podziw, ale i wściekłość, nadzieję i lęk. Budziły emocje.

Zniesmaczony Janusz ściszył telewizor. Media szeroko relacjonowały wczorajsze demonstracje kobiet, powtórki były co chwilę. Doszło do starć z policją, funkcjonariusze użyli pałek i gazu. *Zasrane feministki - pomyślał. W dupach im się już wszystkim poprzewracało.* Na usta cisnęły mu się mocne słowa, telewizyjna relacja zdenerwowała go do tego stopnia, że raz jeszcze podniósł pilota i całkowicie wyłączył dźwięk. Na ekranie widać było akurat szczelnie ustawiony kordon policji. Funkcjonariusze w ciemnych mundurach stali ciasno obok siebie, trzymając się pod rękę. Obok truchtem przebiegali policjanci w białych kaskach, w rękach trzymali przezroczyste tarcze. Jakiś dowódca gestem ręki pokazał, że mają ustawić się w poprzek ulicy, tak, by całkiem ją zablokować. *Bardzo dobrze, zatrzymajcie te babsztyle!* - pomyślał z satysfakcją. *Niedługo wszystkim nam powłóżą na głowy. A jak się będą stawiać, to pałami po dupsku* - powiedział na głos. I jakby ośmielony własnymi słowami zachęcił - *Lać to całe tałatajstwo! Lać i patrzeć, czy równo puchnie!* Janusz aż się uśmiechnął. Zadowolony, że tak szybko rozprawił się z demonstracją, pochylił się nad leżącą na stole kartką. - *Opłatek! Żebym tylko nie zapomniał o opłatku!* Złapał ołówek, dopisał opłatek, po czym podkreślił go dwukrotnie.

Lista świątecznych zakupów, którą robił przed każdym Bożym Narodzeniem, w tym roku była jakaś krótsza. Powodowało to, że Janusz czuł wewnętrzny niepokój, poczucie, że coś mu ucieka, że jest coraz starszy i mniej samodzielny, by wszystko samemu ogarniać. Odkąd odeszła Jadźka, trzeci raz musiał przygotowywać listę samemu. W zasadzie nie musiał, ale chciał. Tak, chciał, bo

sam chętnie mówił o sobie, że jest konserwatywny, a tradycja to dla niego rzecz najważniejsza. A listę zakupów przygotowywał odkąd pamięta, zawsze z Jadźką, potem, jak dziewczynki podrosły, także z nimi, we czworo. Teraz, po raz trzeci sam, wypisywał co trzeba kupić, żeby potem bez stresu spędzić święta. I żeby niczego nie zabrakło. No bo przecież co to za gospodarz, co to za dom, w którym w święta miałyby czegoś zabraknąć...

Skąd ja do cholery, wezmę opłatek? - zachnął się i mimo dwóch podkreśleń, dodatkowo otoczył słowo opłatek kółkiem. W zeszłym roku i dwa lata temu opłatek miał "ze starych zapasów". Po prostu, nigdy go nie zjedli. Ale skończył im się w zeszłym roku. Mimo, że na wigilii był tylko z Julką. Połamali się wtedy resztką pośliskłego wafelka i śmiali, że przed nimi pewnie wyjątkowo chudy rok, skoro nawet opłatek im się skończył.

Poproszę Wawrzyniakową! Sąsiadka codziennie jest w kościele, na pewno załatwi. Zadowolony z siebie oparł plecy o krzesło. Podniósł głowę, a wzrok powędrował oczywiście na stojące na szafce zdjęcie.

Boże, jaki ja byłem wtedy szczęśliwy! - zadumał się. To było jego ulubione zdjęcie. Pokazywało świat, który wtedy był jeszcze normalny. W którym wszystko było tak, jak zdaniem Janusza - miało być.

Na zdjęciu siedzieli w żaglówce. Nie na żadnym jachcie, z kierownicą i skórzanymi kanapami. W zwykłej żaglówce, w której zdechła kiedyś mysz i trzeba ją było wiosłem wyrzucać do wody. Siedzieli we czworo, z Jadźką i dziewczynkami. Lubił tak o nich myśleć. Mimo, że dziś obie są już dorosłe, a Jadźki nie ma już wcale. On, Janusz, głowa rodziny - w kapitańskiej czapce, którą córki kupiły mu na jarmarku w Międzyzdrojach. Siedzący pośrodku, z rękami podpartymi na bokach. Pewny siebie, władczy, prawdziwy kapitan. I do tego nawet przystojny. Obok Jadźka, jakaś taka malutka, skulona, trzymająca w ręku nóż i otwartą konserwę. I dziewczynki - starsza Julka i młodsza Ada. Obie z ogromnymi kanapkami w rękach. To był oczywiście jego pomysł - największe

kanapki na świecie. Takie przez cały chleb. Ale nie w poprzek, wzdłuż, przez całą długość bochenka!

Dziś Julka mieszka z chłopakiem, Ada wyjechała i chyba już nie wróci, a Janusz kroi sobie chleb normalnie, w poprzek.

Makowiec - dopisał Janusz do listy. *Ale może Julka zrobi?* Zapisał przy makowcu imię córki. Po chwili postawił jeszcze znak zapytania. Ciekawe, czy była wczoraj na tych protestach? Dzwonił do niej cały wieczór, ale nie odbierała telefonu. Dopiero dziś rano napisała mu sms-a, że wszystko opowie po południu, jak już się spotkają. Nie lubił, jak Julka nie odbierała, nie miał wtedy poczucia, że panuje nad wszystkim, że jest tak, jak on by chciał. Z drugiej strony miał pełne zaufanie do córki. Czuł, że dobrze ją wychował, a kiedy o niej myślał, pękał z dumy.

Ale to Adę kochał bardziej. I chociaż wstyd mu było nawet przed samym sobą, nie potrafił walczyć z tym przekonaniem. To Ada, nie Julka, była jego córeczką tatusia. Bardzo się starał, żeby Julka nigdy nie poczuła tej niesprawiedliwej miłości, ale wiedział, że mu się to nie udawało. Kobiety podobno czują takie rzeczy. Mają w sobie jakiś mechanizm, który wyłapuje miłość ze wszystkimi jej odcieniami. Każda fałszywa nutka powoduje od razu załączenie się skomplikowanego systemu alarmowego, z trudnymi do przewidzenia konsekwencjami. Ale - o dziwo - żadnych konsekwencji ze strony Julki nigdy nie było. Widział, jak bardzo się starała, żeby przy każdej okazji był z niej dumny, jak bardzo liczyła się z jego zdaniem. Mile łechtało to próżność Janusza. Zawsze jednak postępowanie córki tłumaczył sobie dobrym wychowaniem. Tak, lubił ten zwrot.

A jednocześnie ile razy go słyszał, tyle razy musiał mierzyć się z pytaniem: co poszło nie tak? Gdzie popełnili z Jadźką błąd? Bo Ada zawsze była inna. Zawsze stała trochę z boku, tak, jakby nie chciała ściągać na siebie uwagi. Piękna i mądra i kompletnie niewidoczna. Niewidzialna. Pamięta, kiedy powiedziała im z Jadźką, że wyjeżdża na studia. Nawet się ucieszył. Pozna inne miasto, trochę się usamodzielniał, a w piątek wieczorem już

będzie w pociągu, który przywiezie ją do domu. Z Londynu do Warszawy nie ma pociągów.

Nie podobało mu się to wszystko: Londyn - miasto rozpusty, kierunek studiów (co to za zawód - ekolog?), fakt, że decyzję podjęła nie pytając go o zdanie. Coś w nim pękło, kiedy dowiedział się, że mieszka tam z dziewczyną. Nie, nie z koleżanką, z dziewczyną. Januszowi nie mieściło się to w głowie. Tego samego dnia zadzwonił do Ady i powiedział: - Nie tak cię wychowałem. To była ich ostatnia rozmowa. Ada przestała przyjeżdżać. I dobrze. To był jej wybór, tak chciała. *Przecież jej nie wyklnę! Inaczej, ale kocham ją dalej* - zadreślał się myślami. Ale na święta zaprosił już tylko Julkę.

Na szczęście, Julka była zawsze na miejscu. Janusz wiedział, bo przecież pytał, że Julka też nie zaakceptowała wyborów Ady. Zresztą tej jej Lilly też. Rozmawiały kiedyś na skype, Ada chciała przedstawić Lilly siostrze. - Chuda i brzydka - skwitowała później Julka, a Janusz zaczął się zastanawiać, czy na pewno dobrze dzielił miłość między córki.

Teraz patrzył jak zziębnięta Julka ogrzewa się herbata, a na jej włosach topią się ostatnie płatki śniegu.

- Dlaczego nie odbierałaś telefonu? Martwiłem się o ciebie cały wieczór - zapytał Janusz, ale łagodnie, z lekką tylko nutką zarzutu. - Byłaś tam wczoraj, prawda?

- Tak. Prawie do pół do pierwszej w nocy. Dopiero wtedy nas odwołali, a musiałam jeszcze wrócić do jednostki. Do domu wróciłam przed drugą i od razu padłam. Widziałam, że dzwoniłeś, ale rozumiesz, że nie mogłam odebrać. Wczoraj było naprawdę gorąco!

- Widziałem w wiadomościach. Pięknie je załatwiliście! Ja bym pałował do tej pory!

- Tato...

- Wiem, że ty pałką nie machasz, ale już samo to, że tam byłaś... Naprawdę jestem z ciebie dumny!

- Tato, wczoraj... na manifestacji... Nie umiem tego wytłumaczyć... Jedna z kobiet, stała naprzeciwko mnie... Trzymała jakiś transparent...

Janusz słuchał z rozbawieniem, Julka spojrzała mu głęboko w oczy.

- Tato, to była Ada... Widziałam tylko jej oczy, miała maseczkę i czapkę. Ale te oczy... Wiem, że to była ona!

- Wiesz, że to niemożliwe! Ada jest w Londynie i pewnie razem z tą swoją Lilly ubierają właśnie choinkę. W tęczowe bombki...

- Janusz nie mógł powstrzymać się od złośliwości. - Zrobiłem listę zakupów, upieczesz makowiec?

- Tato - zdecydowanie przerwała mu Julka. - To była ona. Julka spuściła głowę, głos zaczął jej się łamać... - Dlaczego tak nam się popierdoliło to życie... - zaczęła cicho. - Jesteśmy rodziną, a nie jesteśmy... Zadzwońmy do Ady, zaprosimy ją na święta, spędzimy je razem! Ja zadzwonię, wiem, że tobie byłoby trudno. Ale powiem, że razem zapraszamy ją do ciebie. Że ty...

Janusz milczał. Nerwowo gładził róg kartki z listą zakupów. Ale im mocniej to robił, tym róg bardziej się zawijał. Nawet nie spojrzał na Julkę, tak, jakby od wyprostowania tego rogu zależało wiele. Albo jeszcze więcej.

Tyk, tyk, tyk, tyk - stary zegar, który Janusz musiał codziennie nakręcać, tykał tak głośno, że nie można było poskładać myśli. Tyk, tyk, tyk.

Janusz zebrał się w sobie i głęboko nabrał powietrza do płuc.

- Upieczesz ten makowiec?

Andrzej Zawadzki

Roraty

Bóg w swych działaniach wybiera tajemne ścieżki.

Wiliam Cowper

Pójście na roraty było najlepszym sposobem obycia spowiedzi przed Bożym Narodzeniem. Wprawdzie ciemno, zimno i trzeba wcześniej wstać, ale nie ma wtedy kolejek penitentów przed konfesjonałami, a mrok w świątyni wpisuje się doskonale w atmosferę zarówno spowiedzi, jak i pokuty. Nigdy nie lubiłam spowiadać się na oczach rozświetlonego jak lodowisko do jazdy figurowej kościoła, gdy w dodatku oczekujący na swoją kolej ludzie mierzą czas, oceniając tym samym liczbę i ciężar grzechów, w dodatku przestępują z nogi na nogę, nie mogąc doczekać się ukłęknięcia w konfesjonale. Pewnie tak ciążyą im te grzechy, że chcą ich się jak najszybciej pozbyć, mieć to za sobą – myślałam.

Nie byłam na roratach już kilka lat - od czasu, gdy przestała na nie chodzić wnuczka, dla której było to chyba nabożeństwo numer jeden, a że rodzice pędzili do pracy, ja musiałam być z nią. Lubiała chyba tę ciemność, te latarenki w rękach dzieci, te rozdawane obrazki... Pewnie kochała też księdza Piotra, który nabożeństwo zazwyczaj celebrował. Od czasu, gdy przystojny wikary odszedł, przestała się interesować nie tylko adwentowymi nabożeństwami.

Wchodząc, zauważyłam, że w zasadzie nic się w kościele nie zmieniło od tamtej pory: dalej było niemożliwie zimno, nawet gorzej chyba niż na zewnątrz, bo proboszcz oszczędzał na ogrzewaniu; świeciła się tylko czerwona lampka przy tabernakulum i niewielka żarówka przy obrazie Najświętszej Pani w bocznej kaplicy. Wszystko wypełnione przyschniętym już nieco zapachem kadzidła, świec i – co zawsze wyczuwałam na odległość – stęchlizny. Całość przestrzeni spowita czernią, w której zauważyłam może ze trzy postacie skulone z zimna w ławkach. Pierwsza myśl, że jednak bardzo spadła frekwencja od czasów pobytów z Tatianą, ale za chwilę uprzytomniłam sobie, że to ja przyszłam tak wcześnie. Znow miałam za sobą nieprzespaną noc.

Konfesjonał stał przy ścianie naprzeciw oświetlonej kaplicy, ale widać było, że jest pusty. Stałam dwa metry od podestu i zaczęłam myśleć o tym, co przede mną. Według reguł dobrej spowiedzi to czas przeznaczony na rachunek sumienia. Tylko, że ja miałam tę spowiedź przygotowaną niemal od zawsze. Zawsze niemal identyczną. Czasem myślałam nawet o tym, jaki sens ma powtarzanie grzechów i przyrzekanie, że się ich już nie popełni.

Otwierają się drzwi od zakrystii i w bijącym światłem po oczach otworze pojawia się postać księdza. Nie było niespodzianki. Znam księdza Mariana dobrze, nie tylko, a nawet przede wszystkim, spoza konfesjonału. Nawet gdy zamknął drzwi, i znów zapanowała ciemność, postać jego była wyraźna. W birecie, pochylony, z brewiarzem w zgiętej w łokciu ręce zdawał się człapać powoli w kierunku miejsca spowiedzi. Szedł pochylony, jakby niósł na plecach grzechy nie tylko swoich parafian, ale całego świata. Zawsze go uważałam za taki okaz spokoju, miałam wręcz wrażenie, że niedostatecznie wnika w treść spowiedzi, kręcąc młynek kciukami dla zabicia czasu - z nudy, rutyny, czy czegoś w tym stylu. Myślałam czasem, że ten spowiednik traktuje penitentów prawie tak, jak oni w większości podchodzą do aktu spowiedzi.

Uklękałam na podeście konfesjonału i zaczęłam formułką wyuczoną w wieku dziewięciu lat:

- Ostatni raz byłam u spowiedzi ...

Od razu zrobiło się wyraźnie cieplej i słowa same płynęły w kierunku nadstawionego, jak mi się wydawało, ucha.

- Czy jest jeszcze coś, co chciałabyś mi tu powiedzieć, wyznać przed Bogiem? – usłyszałam zza ciemnej kratki.

Pytanie mnie zaskoczyło, bo już zawiesiłam głos, co oznaczało, że kończę. Może nawet nie dlatego, że pytanie padło, ale to, że po długim braku jakiegokolwiek reakcji spowiednik się odezwał. I tu nagle takie pytanie! Takie mało konkretne, a jednak prowokujące do dalszej rozmowy. Zamurowało mnie wręcz.

Musiałam pomyśleć więcej niż chwilę, zanim byłam gotowa do odpowiedzi, do wyznania, godnego postawionego pytania, a które nosiłam w sobie od miesiący. Spojrzałam w kierunku wnętrza świątyni i dopiero wtedy zauważyłam, że przybyło kilkanaście osób, że palą się już światła przy ołtarzu, że nabożeństwo trwa..

- Proszę ojca – zaczęłam. Mąż zostawił mnie dwa lata temu i nie mogę pogodzić się z tym, że odszedł, a właściwie, że Bóg mi go zabrał. Wiem, że to może bluźnierstwo, ale dlaczego Pan Bóg to zrobił? Czasem wołam w myślach męża i nawet mi się wydaje, że się pojawia. Jest obok, czuję taki dziwny chłód w miejscu, gdzie mnie dotyka... Jestem tego pewna. Stoję czasem w kuchni przy zlewie, a on tuż przy mnie. Tak jak kiedyś lubił stawać za życia i patrzeć na to, co robię... Dotykał wtedy mojego ramienia swoją ręką i teraz też czuję ten dotyk, choć przecież wiem, że go nie ma już dawno wśród żywych. Czuję wręcz ciepło z tyłu głowy. Nie może przecież być to oddech kogoś innego. Ma to miejsce dosyć często, a po każdym takim zdarzeniu długo nie mogę dojść do siebie. Czy Bóg w ten sposób każe mnie za wysuwane pretensje o jego śmierć - czuję obecność, której nie ma?

Pomyślałam chwilę i zaczęłam znowu.

— Czy może - w ramach przeprosin - Bóg oferuje mi choć taką chwilę obcowania z nim w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób? Wiem, że pewnie grzeszę tak myśląc, ale takie wątpliwości nachodzą mnie co jakiś czas. Może nie powinnam...

Byłam rozpedzona w tym wyrzucaniu słów. Zupełnie zniknęło gdzieś zimno i świadomość miejsca. Czułam jedynie, że muszę to powiedzieć, że nic już nie powstrzyma tego, co ksiądz uruchomił swoim zaskakującym pytaniem.

W czasie, gdy wydobywałam te najbardziej skrywane tajemnice duszy, których dotąd nie wyznałam na żadnej spowiedzi, ani temu, ani innemu księdzu; spowiednik dalej zdawał się być nieobecny. Wiem, że wyznanie trwało może długo, także dlatego, że szukałam słów, by oddać złożoność sytuacji, która mnie spotyka od czasu do czasu i wątpliwości, jakie mną targają w tych momentach. Także by przełamać lęk przed Panem Bogiem za wypowiedzane bluźnierstwa. Przerażające było dla mnie też to, że podczas gdy tak koncentrowałam na tym, co mówię, na księdzu nie robiło to większego wrażenia – był dalej jakby nieobecny, wręcz znudzony. Przestraszyłam się, że pewnie za długo już tu jestem, choć nie było nikogo chętnego do spowiedzi. Przez moment przebiegła mi myśl, że gadam głupstwa, bo wszystkie wdowy tak się skarżą, więc dla księdza Mariana to nic nadzwyczajnego - ot, jeszcze jedna z pretensjami do Pana Boga, że mąż jej za wcześniej umarł, a cóż on, biedak, może na to poradzić.

Nagle, pewnie gdy przerwa w moim mówieniu wydała się spowiednikowi zbyt długa, poruszył się wreszcie wyraźnie i skierował twarz w stronę kratki, za którą klęczałam. Ze zgrozą pomyślałam, że teraz będzie długo mówił, bo przecież mamy czas. Byłam przerażona, ale gotowa ponieść wszelkie konsekwencje.

— A tam u was — odezwał się ciepłym, choć nieco zachrypłym głosem — w tym waszym uniwersytecie, jest taki Teodor. Zaraz, jak to on się nazywa? A! Siewierski. Znasz go? Na pewno znasz! Jakiś rok temu został wdowcem, wiesz pewnie. To taki porządny, bogobojny człowiek.